

Urodziłam się w osadzie Chomicze powiat Wołożyn województwo nowogródzkie 30 października 1930 roku. Rodzice: Jan Mikicki i Józefa Mikicka z domu Czemko. Ojciec mój był weterynarzem, matka zawodowo nie pracowała, była przy mężu. Rodzice mieli gospodarstwo rolne - około 30 ha, pasiekę. Ojciec był osadnikiem wojskowym, piłsudczykiem. W osadzie byli przeważnie osadnicy. W Chomiczach była szkoła, tam ukończyłam I klasę. Ludzie mówili przeważnie po polsku, ale niektórzy w domu mówili po białorusku. W szkole mówiono po polsku.

Byliśmy zamożni, bo było dużo ziemi i było komu pracować - ojciec miał dużo rodzeństwa, był najstarszy w domu, rodzice ojca już nie żyli. Najstarszą siostrę wysłał do Francji, tam wyszła za męża, wróciła i kupiła sobie majątek w Wołmie. Została potem po wojnie tam na kresach, nie wyjechała do Polski. Jej córka była nauczycielką. Moi rodzice prowadzili gospodarstwo sami, czasami tylko wynajmowali ludzi do pracy; zabudowania nie były duże, ale obory były większe niż dom. Była duża stodoła, spichlerz, z czasem zabudowania miały być powiększone. Mieliśmy w domu radio i rower.

Kiedy nas wywozili /10.II 1940/ to przyszli rano, było jeszcze ciemno. Strasznie ujadał pies. Dzieci się zbudziły. Ojciec i dwaj stryjowie siedzieli pod ścianą z rękami założonymi do tyłu. Ci rusczy krzyczeli na mamę, żeby szybko zbierała dzieci. Powiedzieli, że zabierają nas tylko do Iwieńca, że wkrótce wrócimy do domu. Ubraliśmy się. Z domu nic nie mogliśmy zabrać, bo nie mówiono nam, że nas wywiozą. Cały dom przerzucili do góry nogami - szukali broni. Ale broni w domu nie było. Mój ojciec nie był w 1939 roku zmobilizowany, był z 1902 roku.

Przywieźli nas nie do Iwieńca, a do Baranowicz. Wsadzili do bydłych wagonów i powieźli. Na Syberii byli z nami m.in. Trytkowie /z Krakowa/, Derżenkiewiczowie /Dryżynkiewiczowie?/ - gdzieś spod Warszawy, Jankowscy - wszyscy z rodzinami. Państwo Trytkowie przyjechali do siostry w gości z Krakowa, ale kiedy ją wywozili, to i ich też zabrali.

Pamiętam moje koleżanki z Syberii: Jadwiga Stankiewicz /teraz Borecka/, Ziuta i Tosia Stankiewicz - to były trzy siostry. Była też Irena Białowas. Matka Ireny zmarła w drodze powrotnej z wycieńczenia - tuż przed polską granicą, pochowaliśmy ją już w Polsce. To było tragiczne, ta kobieta była z trójką dzieci, mąż był w wojsku. Była wtedy uroczysta Msza pogrzebowa.

Zawiezino nas do Irkuckiej obłasti, posiołek Tałoje, za

Weronika Pokład c.d.

Tajszetem. Tałoje to był kołchoz. Dopóki ojciec był z nami, to mieliśmy pomieszczenie przy rodzinie rosyjskiej. Byli tam też inni Polacy, m.in. Trytkowie, pewien pszczelarz. Ojciec się potrafił dogadać z przewodniczącym kołchozu, zawsze więc zorganizował ziemniaki, zboże. Był przecież fachowcem. Mama nie pracowała. Kiedy ojca zabrakło, to było biednie - chodziliśmy 12 kilometrów po pokrzywy, jedliśmy wszystkie korzenie, jakie tylko istniały. Ojciec został powołany do wojska, do kościuszkowców.

Na Syberii było jeszcze sporo Polaków z poprzedniej wojny, np. państwo Sokołowscy - mówili po polsku, zazdrościli nam, że wracamy do Polski, że jeszcze się do syta najemy chleba. Za naszym posiołkiem, dalej za Szelechovem, za Tałoje był jeszcze kołchoz w tajdze i tam mieszkali Polacy jeszcze z pokolenia zesłańców popowstaniowych. Mieli w wiosce krzyż, odprawiali nabożeństwa czerwcowe i majowe. Byli zagospodarowani, mieli chleb i białe bułki. Ojciec będąc weterynarzem jeździł tam i przywoził stamtąd chleb i bułki. Nikt się tymi ludźmi nie interesował.

Kiedy ojciec był z nami, to chodziliśmy do szkoły, a kiedy ojca zabrakło, to musiałam pójść do pracy: chodziłam do takiej suszarni, gdzie obieraliśmy i suszyliśmy ziemniaki. Ziemniaków można było przynajmniej się najeść. Mama poszła do szpitala wojskowego, gdzie przywozili rannych z frontu. Siostra była telefonistką w sielsowiecie. Tylko brat był za mały do różnych robót, ale poszedł do kołchozu. Miał zwozić siano na takich wołokuszach. Koń go kilkakrotnie zrzucił, był zmasakrowany. Brat najbardziej ucierpiał, głodował i nie urósł.

Stryjowie moi poszli do armii Andersa. Do Andersa z posiołką poszła cała młodzież i dorośli, którzy nie mieli rodzin. Moi stryjowie: Aleksander Mikicki i Hipolit Mikicki przeszli z tą armią cały szlak. Potem zamieszkali w Montrealu. Ożenili się z Polkami. Jeden z nich - Hipolit - ma dwoje dzieci, a stryj Oleś nie ma dzieci. Powodzi im się dobrze, kilkakrotnie mnie odwiedzali.

W sumie byliśmy na Syberii 6 lat - początkowo w lagrach, a potem w kołchozie. Z lagrów wyszliśmy chyba w 43 roku.

W lagrach nie wolno było modlić się głośno. Baraki były z desek, przesypane pomiędzy deskami trocinami. W takim pokoiku może 5 x 5 metrów było nas 7 osób: dwaj stryjowie, ciotka, rodzice i nas troje - dzieci. Dorośli pracowali wszyscy w lesie. Jedzenie było z kotła. Do kotła wpadało robactwo.

Weronika Pokład c.d.

Miejscowość, w której znajdowały się te baraki, nazywała się "posiołek Udacznoje". Potem przenieśliśmy się do Szelechowa. Na początku władze chodziły i pytały, kto co potrafi robić. Ludzie nie przyznawali się do swoich zawodów, a mój ojciec przyznał się, że jest weterynarzem. Znajomi i bracia mówili, że go wykończą Rosjanie, bo jest inteligentem. Ale ojciec nie poszedł już do pracy do lasu, tylko do opatrywania koni. Czasami robił tak: kiedy koń się skaleczy, to ojciec szedł do szefa. Szefem był czysty Polak, dr Łęcki, wcześniejszy zesłaniec. Pisali wtedy protokół, że konia się zakopało. Ale konia się nie zakopywało i wielu ludzi uratowało się dzięki tej koninie od głodu.

Wśród ludzi było wiele wypadków śmiertelnych. Umarła matka Waluków, zostało troje szieci. Dużo ludzi ginęło w lesie z wycieńczenia, z głodu. Niektórzy ludzie mieli trochę dobytku ze sobą. My nie mieliśmy żadnego kontaktu z rodziną w Polsce, nie dostawaliśmy żadnych paczek. Dopiero potem UNRRA zaczęła trochę pomagać. Ale tych paczek było niewiele.

Ojciec z wojska pisał do nas. Kiedyś przysłał książeczkę do nabożeństwa. Matka nie dostawała żadnego zasiłku. Musieliśmy sobie radzić sami. Ojciec przeszedł szlak od Lenino do Berlina. Potem został w Katowicach. A nasz wyjazd do Polski organizował pan Trytko. Pan ten nie poszedł do wojska, bo miał sparaliżowaną lewą rękę. Otóż kiedyś pan Trytko pojechał do Tajszetu i przywiózł informację, że jedziemy do Polski. Ale przedtem należało udowodnić, że jesteśmy Polakami. Niektórzy, np. Dryżynkiewiczowie, zapisali się, że są Litwinami, i kiedy my wyjechaliśmy, to oni zostali. Naszą narodowość spisywano jeszcze wtedy, kiedy byliśmy w lagrach. Wtedy właśnie niektórzy dla wygody pozapisywali się Białorusinami albo Litwinami. Nikt z nas nie wiedział, jaką narodowość zadeklarowali sąsiedzi. Dopiero przy wyjeździe to wszystko wyszło na jaw. Wtedy było nas tam 5 rodzin i tylko ta jedna rodzina została, ale przyjechała do Polski później. Podobno Dryżynkiewiczowie byli gdzieś w Szczecińskim, a ich syn był podobno nawet ministrem.

Pan Trytko bardzo nie lubił, kiedy nasze polskie dzieci mówiły po rosyjsku.

Mój stryj Hipolit był przez 6 tygodni maltretowany na Syberii za to, że próbował uruchomić odbiornik nadawczo-odbiorczy. Odbiornika tego nie zrobił, ale był tak skatowany, że strach patrzeć.

Ludzie na Syberii byli bardzo solidarni - i Polacy i Rosjanie. Rosjanie tam też byli bardzo biedni, nie mieli prawie nic. Ale częstowali nawet wrzątkiem z samowara czy kromką chleba, jes-

Weronika Półkład c.d.

li akurat leżała na stole.

II strona taśmy

Na zesłaniu zmieniono mi imię. Już w lagrach była szkoła. Uczono w niej po rosyjsku. Kiedy poszłam do szkoły, nauczyciel zapytał mnie, jak się nazywam. Powiedziałam, że Mikicka Ewelina. Więc on powiedział, że będę nazywała się Walentina!! Ale ja nie chciałam się tak nazywać, więc on kazał i już. Ale kiedy przyjechałam do Polski i chciałam to zmienić, to należało tę sprawę załatwić przez sąd, a ja takich możliwości ani pieniędzy na sąd nie miałam. Urzędniczka w dziale meldunkowym zapisała mnie jako Weronikę - i tak już pozostało. Moja siostra otrzymała na chrzcie imię Serafima - więc na Syberii nazywano ją Sarą, a z imieniem brata nie było problemów - Klemens był i Klemens pozostał.

Kiedy mieliśmy się repatriować, to udowodniliśmy naszą polskość dzięki temu, że rodzice zabrali z dokumenty o kupnie pasieki o posiadaniu lasu i ziemi w Wołozżyńskiem. Mieli te dokumenty na Syberii. Razem z nami wróciła stamtąd nasza ciocia, ale była bardzo wycieńczona i niedługo po powrocie zmarła.

Matka moja pracując w szpitalu nie mogła się z tej pracy utrzymać, więc po dyżurach w szpitalu szła jeszcze do kołchozu pracować przy żniwach z sierpem. Za tę pracę obiecano dodatkową zapłatę. Ale w kołchozie po rozliczeniu się zabrakło zboża na wypłaty dla ludzi. Jedyne co skorzystała przy tej pracy, to tyle, że zjadła trochę ziarna na polu czy przyniosła w kieszeni parę kłosów do domu.

Przy wyjeździe z kołchozu przedsiębiorca dał nam jakieś zabiedzone konie, ale one ledwo szły. Kierowca kołchozowej ciężarówki zabrał nas po drodze i podrzucił do Tajszetu. Tam zatrzymaliśmy się u jego siostry, ona nas przenocowała. Okazało się, że ci gospodarze znali naszego ojca. Byliśmy bardzo zawszone i brudne. Oni dali nam się umyć i oporządzić. Przedtem żyliśmy w takim brudzie i chłódzie, że to trudno opisać. W Tajszecie byliśmy jeszcze dwie doby. Tam dawali już jakieś lepioszki i polewkę do jedzenia i już byliśmy szczęśliwi.

Chleba najedliśmy się już w Polsce. Przyniosłam kiedyś do wagonu jeszcze ciepły chlebek, ale pan Jankowski wydzielał nam po troszku, żebyśmy się nie pochorowali. Podczas transportu wieziono nas w 56 wagonach, nie było więc szans na jakiś ciepły posiłek. Raz, kiedy stałam w kolejce po jedzenie, omal nie uciekł mi pociąg.

Ale to już był drobiazgi ^{и поролнавил} z warunkami, w jakich wieziono nas na Syberię. Wtedy, kiedy ktoś w wagonie zmarł, to wartownicy po

Weronika Półkład c.d.

prostu wyrzucali zmarłego z wagonu w śnieg.

Wróciliśmy do Polski. W pierwszy dzień Wielkanocy przyjechaliśmy do Siekierok /za Chojnicami/. Byliśmy głodni, ale nie dano nam ani jeść ani pić. Chodziliśmy po polu, zbieraliśmy ubiegłoroczne ziemniaki, piekliśmy je. Do Chojnic przyjeżdżali różni agitatorzy. Dookoła były ślady wojny, poniszczone mury, domy.

Z Chojnic pojechaliśmy nad Odrę. Potem odnalazł nas ojciec i zabrakł do Szklarskiej Poręby. Ojciec był przy wojsku jako weterynarz. Miał poniemiecki dom. Brat się ożenił i został w Szklarskiej Porębie. Siostra wyszła za mąż i wyjechała do Szczecina, a ja też wyszłam za mąż i zamieszkałam w Bogatyni.

Brat po wojnie jeszcze się uczył, on jest z 1932 roku. Skończył szkołę średnią. Siostra została krawcową, a ja ukończyłam szkołę handlową. Co nieco zrobiliśmy, żeby jakoś żyć. Ojciec nasz nie chciał, żebyśmy gdzieś wychodziły z domu w poszukiwaniu szkół i wykształcenia.

Po powrocie do Polski władze specjalnie się nami nie interesowały. Początkowo tylko trochę pomogło nam wojsko - to było w Krasniku koło Chojnic.

Przez tę Syberię nasze zdrowie zostało zrujnowane. Ojciec nie odczuł tego zbyt, ale mama miała bardzo silną nerwicę. Dla niej Sybir z trójką dzieci był piekłem. Brat nasz nie urósł.

Rosjanie to bardzo dobrzy ludzie. Mam dla nich sympatię. Starzy Rosjanie wierzyli w Boga, modlili się, byli pobożni, a młodzi byli inni. Brat mojej koleżanki Rosjanki szedł na front. Babcia kazała mu uklęknąć przed ikoną, chciała go pobłogosławić. Ale on nie chciał i ta staruszka powiedziała, żeby go kula nie minęła. I rzeczywiście, on z tej wojny nie wrócił.

A Rosjanie funkcjonariusze - to już nie ludzie.